

Reportaż z pierwszego dnia szkoły

Wstaję. Jest 1 września, godzina 05.50. Zwykle o tej porze ledwo stałabym na nogach, ale dziś jestem tak rześka, jakbym spała wcześniej przez całe wieki - to chyba z powodu stresu. Ubieram się, myję zęby, wszystko robię w zawrotnym tempie, jak gdyby napędzała mnie jakaś nieznana siła, a tak naprawdę jest to strach, że nie zdążę na autobus. No dobrze, biegnę, ludzie, już 05.30! Mój autobus odjeżdża o 06.03, muszę liczyć na przejazd jakieś 20 min, bo to długa droga przez las, a moim środkiem transportu jest rower. W porządku, chyba zdążę, jest 05:40, wybiegam z domu, ludzie, jak wieje i jaki ziąb! W lesie będzie lodowato, ale nie mam już czasu wrócić po kurtkę, jadę. Promienie słoneczne prześwitujące przez mozaikę gałęzi i kolorowych liści tworzą bajeczną atmosferę - to dodaje mi otuchy. Jestem już bardzo blisko, prawie dojeżdżam do bramy domu mojej koleżanki, gdzie zostawiam rower, jednak nagle słyszę hałas, obracam się i widzę autobus odjeżdżający z przystanku jak by nigdy nic - patrzę przez chwilę w osłupieniu za odjeżdżającym pojazdem i nerwowo wyciągam z kieszeni telefon, aby zobaczyć, która godzina - 05.53 - bez przesady, jeszcze 10 min do odjazdu, a on sobie pojechał. No dobra, muszę to jakiś przeżyć, odstawiam rower i zrezygnowanym krokiem podążam w kierunku przystanku. Wieje zimny wiatr, wydając dziwny, smutny dźwięk, tak jak by było mu mnie żal. Miło z jego strony. Zatrzymuję się przed drewnianą budką, nigdzie nie widać żywej duszy, najwidoczniej okolica dopiero budzi się do życia. Wyciągam ponownie telefon, aby sprawdzić, kiedy nadjedzie następny bus i w międzyczasie piszę do koleżanki, skąd wszyscy wiedzieli, że autobus przyjedzie tak wcześnie. Otrzymuję odpowiedź, że nie był to mój bus - te słowa poprawiają mi humor, jednak następne już nie.

- Dzisiaj autobusy są bardzo opóźnione - pisze mi Zuza. - Mogłaś wstać te 5 minut szybciej, nic by ci się nie stało, a tak to musisz sobie teraz trochę poczekać.

- Dlaczego akurat dzisiaj? - odpowiadam na jej wiadomość, dygocąc z zimna.

- No w końcu to pierwszy dzień szkoły - odpisuje.

No tak, chyba ten fakt mi umknął. Pierwszy dzień szkoły.

Mój utęskniony autobus nareszcie pojawia się na przystanku. Wsiadam, mówię panu kierowcy "dzień dobry", on mi nie odpowiada, tylko mówi: "przechodzić, przechodzić" - no cóż, trzeba się będzie przyzwyczaić. Jest straszny ścisk, o miejscach siedzących nawet nie ma mowy, a rząd ludzi, którzy stoją, sięga prawie do drzwi. Na następnym przystanku wsiada chłopak - metr osiemdziesiąt wzrostu, ustawia się przede mną i przygniata mi twarz plecakiem. "Może się nie uduszę" - myślę sobie, lecz wcale nie mam co do tego pewności. Czas mija w zawrotnym tempie, znaczy on z pewnością posuwa się po swoich odwiecznych, jednakowych torach, jednak my za to stajemy bez przerwy, gdyż morze pojazdów ciągnie się od ronda w Starym Sączu aż po horyzont, czyli prawdopodobnie do końca ulicy Węgierskiej - to nie brzmi najlepiej, ale cóż, taka jest rzeczywistość. Nie sprawdzam już nawet, która godzina, przychodzi złośliwość i co raz bardziej chce mi się spać - nie myślę już o strachu przed pierwszym dniem szkoły, bo moim największym zmartwieniem jest teraz, by nie zasnąć na stojąco i się na kogoś nie wywrócić. Na szczęście udaje się tego uniknąć. W końcu docieramy na dworzec. Po

wyjściu z autobusu rozglądam się dookoła i szukam w napięciu parku, przez który - jak mi tłumaczono - trzeba przejść, aby dojść do szkoły. O, widzę drzewa! Całe szczęście! Podążam szybkim krokiem w tamtym kierunku, jednak nadchodzi rozczarowanie. Wygląda na to, że nie są to planty, ale miejsce zwane Starym Cmentarzem, które może przypominać park tylko z daleka. Z rezygnacją wracam z powrotem i w końcu postanawiam pójść za naiwnym pomysłem podążania tam, gdzie idą ludzie. Ech, oni mogą iść wszędzie, ale co mi zależy i tak spóźnię się do kościoła - jest 07.59. Idę w napięciu. Uff, na szczęście moim oczom ukazuje się zamyślony Mickiewicz i skąpane w barwach jesieni drzewa. Przemierzam planty szybkim krokiem i docieram do Kościoła pw. św. Kazimierza. Wchodzę do środka. Zostaję z tyłu, chowam się za filarem, udając, że byłam tu od początku, choć czytana jest już ewangelia i spoglądam na tłum ludzi wypełniający kościół, a także na malowidła ścienne i witraże. Wnętrze świątyni jest bardzo piękne i pełne zdobień, a zarazem przytulne. Po zakończeniu mszy św. udaję się razem z innymi osobami w kierunku szkoły. To bardzo blisko, właściwie wystarczy przejść przez ulicę. Przed szkołą, podobnie jak w kościele i chyba w każdym miejscu, w którym dziś byłam, jest całe mnóstwo ludzi. Gubię się w tłumie. Przypominam sobie, że osoby z pierwszych klas miały chyba pójść na boisko i zastanawiam się, czy się tam udać, ale nie jestem pewna i waham się. Przychodzi mi na myśl, aby napisać na grupie klasowej, gdzie są wszyscy, jednak tego też się boję - na ogół przeżywam taki dziwny stan braku zaufania do każdego pomysłu, który przyjdzie mi do głowy. W końcu decyduję się napisać i otrzymuję odpowiedź, że na boisku. Uśmiechając się, podnoszę wzrok znad telefonu i spoglądam na to miejsce z myślą: "Ja i moje IQ". Idę, w końcu docieram na boisko i z ulgą dostrzegam tam napis "1c". Podchodzę do mojej klasy. Rozglądam się. Niestety nie widzę osób, z którymi rozmawiałam na spotkaniu klasowym. Pewnie ich jeszcze nie ma - dochodzę do wniosku i wtapiam się w ogólny gwar rozmów. W końcu przychodzą osoby, na które czekałam - czuję się teraz rażniej. Nagle następuje zadziwiająca cisza, odwracam wzrok, aby sprawdzić, co się stało i okazuje się, że głos zabrał pan dyrektor. Po zakończeniu akademii, udajemy się wszyscy razem do budynku. Szkoła od zewnątrz wygląda bardzo ładnie, wewnątrz także spełnia wszystkie oczekiwania, jednak jego ogrom może nieco przerażać. Przy wejściu tłum rozdziela się na dwie grupy - jedni podążają na nowe skrzydło, a drudzy na stare. My należymy do tej drugiej części uczniów i wspinamy się po niekończących się schodach. Przypomina mi to jedną komedię, której bohaterowie wędrowali na szczyt latarni. Okazuje się, że nas los bardziej oszczędził - nasza klasa znajduje się zaledwie na drugim piętrze. Wchodzimy do środka. Rozglądam się. Mój wzrok zatrzymuje się na ławce, w której siedzi koleżanka, której wcześniej nie znałam. Chyba nie było jej na spotkaniu klasowym. Pytam, czy mogę z nią usiąść. "Jasne" - odpowiada mi z uśmiechem. To sprawia, że czuję się pewniej. Do klasy wchodzi pani - jest bardzo miła, tłumaczy nam wszystko i oprowadza nas po budynku. Kiedy schodzimy do "Hadesu", na myśl przychodzi mi, że schody te przypominają zejście do podziemi jakiegoś tajemniczego zamku. Pierwszy dzień w szkole powoli dobiega końca. Rozmawiam jeszcze przez chwilę z koleżanką w drodze do wyjścia, potem rozstajemy się. Udaję się w kierunku parku. Siadam na ławce i obserwuję kolorowe liście opadające z drzew, rozmyślając nad sensem życia. Spoglądam na ludzi spacerujących alejkami - każdy podąża swoją drogą i zastanawiam się, gdzie ja

powinnam się udać. Na dworzec - moje komórki nerwowe decydują jednogłośnie. W końcu nie chcę, aby znów uciekł mi autobus, a o dalszym etapie mojej szkolnej egzystencji będę myślała jutro.